119 dni do góry stępką

Wyruszając w szkoleniowy rejs u wybrzeży Nowej Zelandii, trzej załoganci i ich kapitan nie spodziewali się, że poznają coś znacznie więcej niż tylko podstawy żeglarstwa, bo będą musieli walczyć o **przetrwanie**.
Trzymając się kurczowo przewróconego trimaranu, czwórka mężczyzn mimowolnie pobije **niezwykły rekord**: liczby dni spędzonych na wraku jachtu w oczekiwaniu na niepewny ratunek.

4 czerwca 1989 roku. Żółty trimaran uderza o fale z niezwykłą siłą. Tłucze tak od czterdziestu ośmiu godzin. Od czterdziestu ośmiu godzin członkowie załogi „Rose-Noëlle" nie mogą zrobić kroku, nie obijając się o coś we wnętrzu jachtu, nie są w stanie napić się wody bez rozlania zawartości szklanki ani zasnąć w podskakującej nieustannie koi. Stojący za sterem Jim stara się utrzymać jacht na kursie. Ale morze szaleje. Górujące nad małym wielokadłubowcem fale rozbijają się o jego burty i rufę, monstrualne potoki wody uderzają od dziobu, wymagając uważnego sterowania. A Jim nigdy w życiu nie sterował jachtem… Skiper John przejmuje od niego ster. Sześćdziesięcioletni żeglarz zna swój jacht od podszewki, bo sam go zbudował. Zna wszystkie jego słabości i mocne strony. Nie boi się, jego jacht widział już gorsze rzeczy. On też – w przeciwieństwie do grupy nowicjuszy, których zabrał w ten rejs wzdłuż wybrzeży Nowej Zelandii. Żaden z nich nie ma doświadczenia morskiego. I daje się to zauważyć oraz usłyszeć.

– Nie podoba mi się to, John – mówi Phil. – Nie uważasz, że dobrze by było podać komuś naszą pozycję?

– A po co? Nie martw się, będzie dobrze, znam swój jacht. Nie przewróci się. Ten jacht nie może się przewrócić.

Sztorm, potężny późnozimowy niż, zaskoczył załogę po zaledwie dwóch dniach od wyjścia w morze. To niezbyt dobrze świadczy o Johnie, który powinien był uważniej śledzić prognozę pogody. Teraz znaleźli się w samym centrum wydarzeń. Muszą sobie radzić. Utrzymać małego żółtego pająka na powierzchni wody najlepiej, jak potrafią. I nie wpadać w panikę… Wiatr wieje z prędkością 60 węzłów. John już nie mówi o stawianiu dodatkowych żagli, jak kilka godzin temu. Nie odzywa się, milczy. Skupia się na sterowaniu. Załoganci tłoczą się we wnętrzu jachtu. Próbują złapać prognozę pogody w radiu. Jedyne, co do nich dociera, to strzępki informacji o tysiącach studentów demonstrujących na jakimś placu w Chinach albo stare melodie Johna Denvera.

Panuje osobliwa, zadziwiająca atmosfera. Składają się na nią choroba morska, strach, dobiegające z radia dźwięki piosenek o miłości, okrzyki Phila, wiadomości o studenckich demonstracjach, szum fal… Ale Plac Tian'anmen zupełnie ich nie obchodzi. Dla nich ważne są tylko fale, które nieustannie uderzają w jacht. Nagle jedna z nich wali mocniej niż pozostałe, unosi ich z miejsc i rozrzuca po mesie niczym monety po dnie kieszeni. Dla Phila to za wiele. Rzuca się do radia UKF i desperacko próbuje nawiązać kontakt z jakimś statkiem. Ale wygląda na to, że w zasięgu nie ma żadnej innej jednostki pływającej.

– BLU![1] – krzyczy Phil do Johna. – Wołaj przez BLU!

Ten system ma bardzo duży zasięg i z łatwością można by wysłać sygnał SOS. Phil o tym wie. Ale tylko John potrafi go używać… A kapitan nie chce z niego korzystać. Przede wszystkim nie sądzi, by był w niebezpieczeństwie. Zna morze. Bywał już w trudnych sytuacjach. Na razie nie widzi powodu, by wzywać pomocy: jacht płynie naprzód, na pokładzie nie ma żadnych uszkodzeń. Poza tym skiper nie ma licencji na BLU…

– BLU! – nie przestaje Phil. – John, chcę wezwać helikopter, żeby nas stąd zabrał!

– Posłuchaj, BLU używa się wyłącznie w przypadku niebezpieczeństwa!

– Do licha, John, JESTEŚMY w niebezpieczeństwie! Przewrócimy się!

– Nie przewrócimy się, Philipie. Ten jacht nigdy, przenigdy się nie przewróci!

---

[1] BLU (od fr. *Bande Latérale Unique*) – angielskie SSB (od ang. *Single Side Band* – tego terminu używają również polscy żeglarze) – radiostacja, która przesyła tylko jedną wstęgę boczną sygnału (górną – USB lub dolną – LSB) bez fali nośnej, co zapewnia oszczędność mocy i wąskie pasmo idealne do łączności dalekiego zasięgu. W odróżnieniu od standardowej modulacji AM system SSB kieruje całą moc na transmitowanie informacji, a nie na zbędną falę nośną. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Pozostali członkowie załogi są innego zdania. Zaczęli nawet gromadzić sprzęt ratunkowy. Dla nich to oczywiste: żaden trimaran nie przetrwa takiego sztormu.

Mija noc. Zaczyna świtać, a jacht wciąż jest w idealnym stanie, co potwierdza, że rację ma zachowujący zimną krew kapitan. Satnav[2] pokazuje pozycję jachtu: 140 mil morskich na wschód od Nowej Zelandii.

Jim Nalepka jest wyczerpany. Ledwo spał, miotany w trimaranie, który brutalnie wali o każdą falę. Jim jest kucharzem, nie żeglarzem. Wraz z kumplami, Philem Hofmanem i Rickiem Hellriegelem, instruktorami w ośrodku kajakarskim Outward Bound, myśleli, że wybierają się na spokojny rejs, by przez dwa tygodnie spędzone na morzu wygrzewać się na słońcu i uczyć podstaw żeglarstwa. Skiper wzbudził ich zaufanie dość nietypową wizytówką:

John A. Glennie
Jacht „Rose-Noëlle"
Przeprowadzanie jachtów
Konstruktor jachtów z zawodu
Poszukiwacz przygód z wyboru

I oto są tu, desperacko próbując ukraść kilka minut snu, podrzucani na kojach jak w shakerze… Nagle jacht przestaje łomotać. Wszystko cichnie. Cichnie aż za bardzo. Jim spina się, rozgląda wokół i widzi pozostałych załogantów w tej samej wyczekującej pozycji. I wtedy na jacht spada lawina wody. Hałas jest potworny. Jim czuje, jak trimaran zbacza z kursu, wpada w poślizg, przechyla się gwałtownie… Książki, ręczniki, telewizor, ludzkie ciała, wszystko wypada ze swoich miejsc… Jim zostaje wyrzucony w powietrze.

---

[2] Satnav – system nawigacji satelitarnej, poprzednik GPS. W odróżnieniu od GPS pozycja nie była podawana w sposób ciągły, lecz wyznaczana co kilkadziesiąt minut lub co kilka godzin i wymagała przelotu satelity. Dokładność systemu była gorsza niż GPS, ale wystarczająca na żeglugę oceaniczną.

Po chwili wszystko się uspokaja. Zapada niesamowita cisza.

– Jesteśmy do góry dnem!

Czterej mężczyźni stoją na tym, co wcześniej było sufitem mesy. A wody przybywa.

– Jim, Jim, gdzie jesteś? – W ciemności słychać krzyk ogarniętego paniką Ricka.

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku, jestem tutaj.

Członkowie załogi poklepują się po ramionach, dodając sobie otuchy. Są wszyscy. Nikomu nic się nie stało. Ale poziom wody w kabinie wciąż rośnie.

– Rick – pyta Jim. – Jak wysoko to się jeszcze podniesie?

– Nie wiem, stary, nie mam pojęcia…

Wody jest coraz więcej. Mężczyźni instynktownie zaczynają zbierać wszystko, co unosi się wokół nich, w tym lotniczą radiolatarnię awaryjną[3], która w cudowny sposób pojawia się na powierzchni. Potem czołgają się mozolnie do rufowej kabiny skipera: wejście do niej, w normalnych warunkach bardzo niskie, teraz znajduje się nad poziomem wody. To jedyne suche miejsce na jachcie. Chowają tam wszystko, co się da. I zaczynają się organizować: dwóch ludzi wraca do wody, aby wyciąć kwadrat w tym, co kiedyś było dnem kadłuba jachtu, a teraz jest sufitem. Wlot powietrza niezbędnego do oddychania, ale także miejsce na przymocowanie radiolatarni ratunkowej, która zaczyna emitować sygnał.

– Jak długo będziemy musieli czekać na ratunek? – pyta któryś z załogantów.

---

[3] Lotnicza radiolatarnia awaryjna (ang. *Emergency Locator Transmitter* – ELT) – prawdopodobnie skiper tego trimaranu miał ją na wyposażeniu zamiast stosowanej powszechnie na jednostkach morskich radiopławy EPIRB (od ang. *Emergency Position-Indicating Radio Beacon* – radiopława awaryjna wskazująca pozycję). Używane są również PLB (od ang. *Personal Locator Beacon*), czyli osobiste radiopławy członków załogi.

– To zależy od tego, czy piloci samolotów prowadzą nasłuch. Może pięć dni. Potem radiolatarnia i tak przestanie nadawać…

– Pięć dni! Nie wytrzymam pięciu dni…

Przemoczona mapa leży rozłożona na koi. Mężczyźni szybko orientują się w sytuacji: jacht rzeczywiście płynął wzdłuż wybrzeży Nowej Zelandii.

– Do najbliższego lądu jest około czterech i pół kilometra – podsumowuje jeden z rozbitków – ale to na południe od nas… Nie w tym kierunku, gdzie niosą nas wiatr i prądy. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na ratunek.

Na szczęście jacht zachowuje stabilną pozycję, a poziom wody we wnętrzu już nie rośnie. Czterech mężczyzn kuli się na koi skipera, jedynym suchym miejscu na trimaranie. Ogrzewają się wzajemnie i jedzą to, co udało im się uratować podczas wywrotki.

Ale czas płynie i skiper John zaczyna podejrzewać, że są daleko od stref nawigacji lotniczej i że radiopława prawdopodobnie została uruchomiona na próżno. Dociera do niego, że teraz muszą przygotować się na długie oczekiwanie. Kilkakrotnie nurkuje w zimnej wodzie, aby wydobyć z wnętrza jachtu wszystko, co się da. Maleńka kabinka, o długości 1,98 metra i szerokości 1,37 metra, jest niewiarygodnie zagracona niezbędnym do przetrwania sprzętem. Stłoczeni i uwięzieni w ciemności mężczyźni próbują się zorganizować, ale napięcie jest wyczuwalne. Phil jest na krawędzi wytrzymałości psychicznej. Przeraża go myśl, że jakaś duża fala może przywrócić jacht do normalnej pozycji: zostaliby pogrzebani pod nagromadzonym sprzętem i utonęli w tonach wody. Za każdym razem, gdy przewrócony trimaran lekko się unosi, Phil się spręża, gotowy do szybkiego opuszczenia kabiny…

– To niedorzeczne – próbuje mu tłumaczyć John. – Ten jacht na pewno sam się nie podniesie.

– Mówiłeś dokładnie to samo, zanim nas położyło – przypomina mu Rick. – Według ciebie nie mogliśmy się przewrócić.

John milczy, ale dla Ricka sytuacja jest jasna: to już nie jest załoga z doświadczonym kapitanem na czele, tylko grupa rozbitków walczących o życie. A sztuka przetrwania to jego specjalność. Brał udział w niezliczonej liczbie zajęć survivalowych, najpierw jako kursant, a później instruktor. Zna się na rzeczy. John nie ma innego wyjścia, jak tylko milczeć. Zwłaszcza że radiolatarnia po pięciu dniach przestaje działać. Najwyraźniej nikt nie odebrał ich sygnału.

Szóstego dnia sztorm cichnie. Czterej mężczyźni zanurzają się w zimnej wodzie i wychodzą z wnętrza kadłuba przez luk awaryjny. Na zewnątrz jest piękna pogoda. Trimaran przypomina wielkiego wieloryba unoszącego się na gładkiej tafli morza. Nadzy rozbitkowie wygrzewają się na słońcu, żeby nabrać sił. Będą ich potrzebować.

Po kilku dniach spokoju morze znowu zaczyna się burzyć. Fale stają się coraz większe, a Rick martwi się o to, czy jacht wytrzyma.

John nie ma wątpliwości.

– Ten jacht na pewno się nie połamie – mówi.

– Temu jachtowi nie powinno się przydarzyć mnóstwo rzeczy…

We wnętrzu rozbitkowie starają się powstrzymać fale przed wtargnięciem do ich jedynego schronienia. Każdy ruch morza grozi zalaniem prowizorycznej kryjówki przez otwór, który musieli zrobić, żeby wyjść z kadłuba. Rick i Jim usiłują zablokować wodzie dostęp, przytrzymując przy dziurze coś w rodzaju materaca, podczas gdy Phil i John próbują chronić się przed żywiołem skuleni z tyłu kabiny. Ale materac nie zatrzymuje wszystkiego. Morze wdziera się przez każdą szczelinę. Obaj mężczyźni są przemoczeni i wyczerpani. Nagle fala silniejsza od poprzednich wdziera się głębiej, zalewając ich doszczętnie.

– Nie lekceważ potęgi wody – mówi Rick do Jima.

– Zamknij się, Rick – odpowiada Jim. – Mam już dosyć marznięcia i moknięcia. Hej, Phil i John, moglibyście zamienić się z nami na chwilę, żebyśmy się trochę ogrzali i wysuszyli?

Dwaj skuleni w kącie mężczyźni milczą.

– Hej, mówię do was…

– Odwal się – odpowiada Phil. – Wasza kolej. My byliśmy tam wczoraj…

– Słuchaj – odpowiada Rick. – Jesteśmy przemoczeni i grozi nam hipotermia. Trzymamy ten pieprzony materac od kilku godzin. Teraz wasza kolej…

Brak jakiejkolwiek odpowiedzi. Dla Ricka ta cisza to za wiele. Zaczyna argumentować, wylicza po kolei: że zawsze pracowali jako zespół, że muszą się nawzajem wspierać, że żaden z nich nie prosił o znalezienie się w takiej sytuacji. Phil i John nawet nie drgną. Wciąż trzymając materac, dwaj rozbitkowie zaczynają błagać Phila, by wcisnął się między nich, aby mogli chociaż trochę się ogrzać. Ten bez słowa wślizguje się między dwóch mężczyzn, którzy po kolei przytulają się do niego, by było im nieco cieplej. John pozostaje nieruchomo w swoim kącie. Milczy.

Nieco później, gdy morze chwilowo się uspokaja, mężczyźni próbują odzyskać siły. Rick i Jim półgłosem wracają do incydentu.

– Widziałeś, że John nawet nie drgnął? Dasz wiarę?

– Tak – odpowiada Rick. – Chyba już wiemy, co sobą reprezentuje. To zwykły palant. Dlatego my trzej musimy trzymać się razem: Phil, ty i ja. Za wszelką cenę.

Następnego dnia, podczas gdy John i Phil walczą z materacem, próbując powstrzymać napór wody, Rick i Jim nie kiwną palcem. Nie ich kolej. Mimo to, nie prosząc nikogo o pomoc, John każdego dnia nurkuje w lodowatej wodzie, żeby przeszukać jacht i znaleźć pożywienie dla czterech mężczyzn. Dla Jima wniosek jest jasny: potrzebują siebie nawzajem. Wszyscy.

Przetrwać. Od trzydziestu dziewięciu dni to obsesja czterech mężczyzn. Wypracowali pewnego rodzaju rutynę. Zbawienny deszcz kilka

dni wcześniej pozwolił im napełnić świeżą wodą siedem butelek. Ale każdy dzień jest trudny. Przetrwanie wisi na włosku: jeśli jacht zanurzy się trochę bardziej, nie będą w stanie długo wytrzymać. Nadal dryfują, mając nadzieję, że zauważy ich jakiś statek: na przewróconym kadłubie postawiony został bom spinakera pełniący teraz funkcję masztu sygnałowego z flagami wywieszonymi na prowizorycznych wantach. Dzięki Johnowi do masztu domontowano również pomysłowy system pozyskiwania wody deszczowej. Lepsze to niż nic. Zwłaszcza że skiper odmawia podjęcia próby postawienia awaryjnego takielunku na przewróconym kadłubie. Nie chce nawet o tym rozmawiać.

Napięcie między nim a Rickiem rośnie.

– Ten jacht NIE MOŻE płynąć do góry dnem – upiera się John. – Przestań marzyć i skupmy się na przetrwaniu, spróbujmy dostrzec ląd albo statek.

– Jesteś cholernie uparty! Wszystko musi być robione według twojego widzimisię, prawda?

John nawet go nie słucha. Odwraca się ostentacyjnie plecami, jakby zdanie Ricka nie miało dla niego żadnego znaczenia. Prawdziwy powód jego decyzji jest nieco inny: John się obawia, że zrobienie masztu z bomu spinakera poskutkuje zniesieniem wraku jachtu jeszcze dalej na wschód przez dominujące wiatry. W stronę Chile i zimnych wód. Daleko od Nowej Zelandii, najbliższego lądu. Ale John to zatwardziały samotnik. I Rick ma rację: jest dość uparty. Nie widzi powodu, by tłumaczyć swoje decyzje komuś, kto według jego kryteriów nie ma pojęcia o morzu…

Z czasem jednak mężczyźni zaczynają poznawać się lepiej. Rozmawiają o swoich żonach i dziewczynach. Przyznają się do swoich słabości, mówią, z czym wiążą nadzieje. Rick opowiada o guzie mózgu, który omal nie odebrał mu życia, natomiast John o swoim nowotworze nie wspomina ani słowem. Mimo wszystko pozostali mężczyźni w końcu doceniają jego niesamowitą zaradność. Zawsze gdy trzeba

coś zrobić, jest niebywale skuteczny. Jedyny problem to jego niechęć do podtrzymywania kontaktów międzyludzkich. Chociaż na przewróconym trimaranie tłoczy się ich czterech, John jest samowystarczalnym samotnikiem. Byłby pewnie szczęśliwszy, dryfując na swoim jachcie w pojedynkę. Ale nie może tego innym powiedzieć. Nie może też mówić o ratunku, którego nie mogą się doczekać. Mieli nadzieję, że ich opóźnienie w drodze do portu docelowego spowoduje rozpoczęcie poszukiwań. Ale niczego nie zauważyli. Żadnego samolotu. Ani statku. Zresztą nikt nie znał ich pozycji w momencie wywrotki. Prawdopodobnie nikt nawet nie wie, że się przewrócili. Mogą polegać tylko na sobie…

Trochę później, stojąc na przewróconym kadłubie, Phil wyciąga przez luk dwa 20-litrowe wiadra. Widząc jego krzątaninę, Rick zaczyna się nieco irytować: „Czemu po prostu nie zostawi tych wiader na swoim miejscu?" – zastanawia się. „Zgubił już wystarczająco dużo rzeczy". Od samego początku ich dryfowania Phil był niesamowicie niezdarny. Jedzenie i przedmioty codziennego użytku ginęły, podobnie jak wszystko inne, z powodu niezdarnego ruchu, błędnej oceny odległości rzutu lub złej decyzji. Zawsze była to wina Phila.

– Rick, podaj mi linę, żebym mógł przywiązać wiadra.

– Nie, jest mi potrzebna. Odłóż wiadra tam, skąd je wziąłeś.

– Wal się! – odpowiada Phil.

Chciał tylko pomóc, być użyteczny. A wszyscy go strofują. W przypływie złości rzuca jednym z wiader w stronę luku. Chybia. Wiadro odbija się od kadłuba i wpada do wody.

– Pieprz się z tym sam – woła Phil do Ricka.

– Nie, wyciągnij je.

– Nie, to ty je wyciągnij.

Napięcie rośnie. Mężczyźni mierzą się wzrokiem.

Jim próbuje rozładować sytuację: